

Mama pięciorga dzieci, z których świat może poznać jedynie dwoje

data aktualizacji: 2025.03.08 autor: Joanna Kielak



(fot. archiwum prywatne)

Dwa, trzy raz w roku, w samotności otwiera skrzyneczkę ozdobioną skrzydłami anioła. Robi to w ciszy, gdy nikogo nie ma w domu. Małe z pozoru pudełko mieści w sobie pamięć po trójce dzieci, z którymi nie mogła się pożegnać, których nie było jej dane pochować...

Historia każdej z nich jest inna, łączy je dramat utraty dziecka, także tego nienarodzonego oraz strach towarzyszący kolejnej ciąży.

I choć nie przebieramy naszych dzieci, nie kąpiemy ich, nie tulimy, nie głaszczemy po główkach, nie kołyszemy do snu, nie czytamy im książek i nie śpiewamy na dobranoc, to jesteśmy mamami

- pisze Joanna Nowak w swojej książce „Aniołkowe mamy”.

Gdy po raz pierwszy zaszła w ciążę uznała, że teraz pozostaje jedynie kupić wózek, pieluchy i przemeblować pokój, by zrobić w nim miejsce dla dziecka. Nic takiego jednak się nie stało. Straciła ciążę z powodu wad letalnych dziecka.

Szybko zaszłam w drugą ciążę. Choć tę najmniej pamiętam i często się zastanawiam, dlaczego tak się stało. Lekarze twierdzili, że drugi raz takie wady u dziecka raczej się nie zdarzają i najprawdopodobniej kolejna ciąża będzie zdrowa. Gdy na drugiej wizycie usłyszałam bicie serca, pomyślałam, że lekarze mieli rację i teraz już będzie wszystko dobrze. Gdy straciłam drugą ciążę, usunął mi się grunt pod nogami. Wtedy moja niezachwiana wiara, że wszystko będzie ok, runęła.

- przyznaje Joanna Nowak, prezes fundacji Gonito, autorka książki „Aniołkowe mamy”.

Przy trzeciej ciąży zdecydowali się na in vitro. Dwa zarodki, które udało się pobrać, były przebadane genetycznie. To dawało Joannie głębokie przeświadczenie, że tym razem się uda.

Gdy ją straciłam, było to dla mnie trudne zderzenie z rzeczywistością. Myślałam, że się z tego nie podniosę. Zachodzenie w każdą kolejną ciążę to już była masakra. Strach wiódł prym, nie dawał się przebić innym emocjom.

Joanna nie ma sesji zdjęciowej zrobionej w żadnej z pięciu ciąż. Przy kolejnych do końca czekali, by zorganizować w domu miejsce dla malucha. O tym, że jest w ciąży z Jasiem, powiedzieli rodzinie dopiero na początku drugiego trymestru i to też tylko dlatego, że nie dało się już tego dłużej ukrywać.

Niecałe dwa lata przed Jasiem na świat przyszła Zosia.

To był nasz drugi i ostatni zdrowy genetycznie zarodek. Wiedziałam, że to moja ostatnia szansa. Miałam wtedy na uwadze, że nie będę chciała podchodzić kolejny raz do całej procedury in vitro. Dziś tak mówię, nie wiem jednak, jak to byłoby w rzeczywistości. Wtedy czułam, że to moja ostatnia szansa i jeśli się nie uda, być może będę musiała się pogodzić z tym, że to będzie pożegnanie mojego marzenia o rodzicielstwie.

Ciąża przebiegała z komplikacjami. Podczas kolejnych badań słyszeli od lekarza ten sam komunikat: zarodek jest, czekamy. Gdy jechali na badania, zastanawiali się, czy tym razem nie usłyszą, że macica jest już pusta.

Za każdym razem przed badaniami trzęsłam się ze strachu i płakałam. Będąc obarczoną trzema stratami strach i wymyślanie czarnych scenariuszy wiodą prym. W tym strachu, który momentami przeistaczał się w paranoję ciężko się przebić z pozytywnymi emocjami, wizualizować świetlaną przyszłość. Ten strach był tak duży, że lekarz uznał, że mniej szkody wyrządzą małe dawki relanium, niż stres, nad którym nie była w stanie zapanować.

Każda ciąża po poprzednim poronieniu nie jest już magiczna i piękna. Nie jest to czas, gdy przyszła mama zastanawia się, jak duże jest już dziecko, czy sprawdza w internecie, na jakim etapie rozwoju

jest maluch.

Na pewnym etapie to już nie był strach a paranoja. Doszło do tego, że w okresie jesienno-zimowym bałam się wyjść z domu i spotkać się z kimś, bo być może nie uprzedził mnie, że jest przeziębiony. Mocniej kichnęłam i już się zastanawiałam, czy coś się nie wydarzyło. To się przełożyło na jakość mojego życia. Można powiedzieć, że skazałam się na swojego rodzaju społeczną banicję w tym czasie.

By dać upust emocjom, po kolejnej utraconej ciąży zaczęła pisać książkę. Uznała, że jeśli jej emocje wybrzmia głośniej, pomoże to w przejściu żałoby, uporaniu się z bólem po kolejnych stratach. Opisała w niej to, z czym mierzyła się przez kilka lat (od pierwszej ciąży). Nazwała wszystkie uczucia, które towarzyszyły jej na każdym z etapów – od dwóch kresek na kolejnych testach, przez wizyty w szpitalach, po rozpacz przeżywaną w czterech ścianach, gdy wracała do domu bez kolejnego dziecka, z którym nie miała nawet szansy się pożegnać.

- Jedna z kobiet napisała mi, że po przeczytaniu tej książki po raz pierwszy jej mąż ją zrozumiał. To im stworzyło przestrzeń do wspólnej rozmowy – opowiada Joanna. – Strata okołoporodowa to niestety wciąż temat tabu. Pamiętam, jak pierwszy raz powiedziałam, że straciłam dzieci, to zaczęły się odzywać osoby z mojego bliższego i dalszego otoczenia. Nagle się okazało, że moja bliska ciocia straciła pięć ciąży, a nigdy nie słyszałam tej części historii naszej rodziny. Moje koleżanki między jednym a drugim dzieckiem traciły ciążę. Okazało się, że znajoma od kilku lat stara się o ciążę i nigdy wcześniej o tym nie mówiła.

O stracie dziecka nie mówi się w towarzystwie. Znajomi nie wiedzą, jak się zachować, więc taktycznie się wycofują. Próbują racjonalizować, z czasem tracą cierpliwość. Powtarzanie „uda się następnym razem”, „to nie koniec świata”, „jeszcze wszystko się poukłada”, „natura sama wie, co robi” kobiecie w żałobie nie pomoże. Wzbudzi jedynie opór i agresję.

Ludzie boją się rozmawiać o tej śmierci, boją się rozmawiać o tym, co jest tak nienamacalne, niefizyczne, bo przecież nie poznali dzieci, które nosiliśmy w brzuchu. Pamiętam, jak zderzałam się z otoczeniem, jak trudny dla mnie był ten spuszczone wzrok, to, że ludzie czasem mnie omijali. Gdy spotykałam się w szerszym gronie znajomych, miałam wrażenie, że boją się do mnie podejść, że patrzą na mnie, a chwilę później wbijają wzrok w ziemię. Takie zachowanie sprawia, że osoby w żałobie czują się porzucone, zostawione same sobie.

Wciąż brakuje grup wsparcia dla kobiet, które doświadczyły straty okołoporodowej. [Pomocne dla Joanny były rozmowy z kobietami piszącymi na grupach internetowych.](#) – Wartość takich „pisanych” rozmów jest inna, niż spotkania na grupie wsparcia, gdzie widać emocje. To była dla mnie jednak ostatnia deska ratunku. Te rozmowy wyciągnęły mnie z tego dna rozpaczony – ocenia po czasie.

Gdy okazało się, że ciąża z Zosią rozwija się, odłożyła pisanie książki. Uznała, że pora zadbać o dobrostan emocjonalny. To nie czas, by generować dodatkowe negatywne emocje. Próbowала

wszelkimi siłami przywoływać te pozytywne. Byłam przekonana, że narodziny Zosi, a później Jasia będą tym elementem, który pozwoli jej dojść do pełnego zdrowia psychicznego. Nic bardziej mylnego. Tak się nie wydarzyło.

- Myślę, że moje dzieci nie zastąpiły mi tych trzech utraconych i na pewno nie były remedium na całe to cierpienie, które mnie dotknęło - przyznaje. - To, że dzieci przychodzą na świat, nie umniejsza cierpienia po utracie tamtych. Kluczowe jest też to, by wiedzieć, że tego bólu nie do końca da się pozbyć. Doszłam do tego na przestrzeni lat. Dzisiaj nawet nie chcę całkowicie się tego bólu pozbyć, bo myślę, że on jest pomostem z tymi moimi aniołkami. To element, który pozwala mi osadzać ich w mojej rzeczywistości, pomimo że nie mam ich blisko. Staram się ten ból oswajać, udeptywać i ugniatać, znajdować dla niego miejsce. To jest trochę tak, że zaczynamy żyć swoim życiem, coraz bardziej wypełnionym pozytywnymi emocjami. Dzieci wypełniają nam czas, nie ma już tyle miejsca, by tak intensywnie myśleć o przeszłości, ale w momencie, gdy nie zamkniemy pewnych procesów, wracamy do tego. Wystarczy iskra, by się popłakać, rozgrzebać wszystko na nowo, rozdrapać rany... Trzeba to przepracować także dla dzieci, by na nie nie chuchać i dmuchać, nie być przewrażliwionym. Żeby też wkroczyć w rodzicielstwo pełną parą.

Artykuł ukazał się w Głosie Skierniewic i Okolicy 26.10.2023 r.

Źródło:

<https://skierniewice.eglos.pl/aktualnosci/item/44880-mama-pieciorga-dzieci-z-ktorych-swiat-moze-poznac-jedynie-dwoje>